

Magdalena Gawin: Sonderaktion Krakau. O dramacie polskich uczonych w latach wojny

Polscy uczeni już w pierwszych tygodniach okupacji uznani zostali za wroga, nawet ci, którzy utrzymywali poprawne czy bliskie stosunki z nauką niemiecką, tylko z tego powodu, że służyli polskiej kulturze – pisze Magdalena Gawin w książce „Bilet do nowoczesności”. Przypominamy jej fragment, mając w pamięci Intelligenzaktion, niemiecką operację sprzed 79 lat wymierzoną w polskie elity.

Kraków, ciepłe popołudnie. Na zdjęciu profesor Kazimierz Kostanecki karmi gołębice w towarzystwie kilkuletniego wnuka. Jak przystało na sędziwego profesora, ma kapelusz i starannie skrojony płaszcz skrywający jego szczupłą sylwetkę. To legenda wydziału medycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z najwybitniejszych polskich chirurgów, prezes Polskiej Akademii Umiejętności, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, społecznik, przyjaciel malarza Jacka Malczewskiego. W 1896 roku zainicjował uchwałę, dzięki której Polki mogły wstępować na wydział medyczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Szacuje się, że w swoim pracowitym życiu wykształcił od pięciu do sześciu tysięcy lekarzy. 6 listopada 1939 roku został aresztowany przez gestapo w ramach akcji Sonderaktion Krakau. Zmarł niedługo po przewiezieniu do obozu Sachsenhausen. Miał 77 lat.

*Polscy naukowcy umierali w
Sachsenhausen, Auschwitz,
Dachau, ginęli na Wzgórzach
Wuleckich we Lwowie, w
gettach żydowskich, w
powstaniu warszawskim*

Akcja aresztowania
polskich profesorów
przebiegała
błyskawicznie. Tuż
po zaduszkach w
1939 roku rektor
Uniwersytetu
Jagiellońskiego
otrzymał

zawiadomienie, że Obersturmbannführer dr Bruno Müller zaprasza wykładowców uniwersyteckich na swój wykład. Niektórzy naukowcy z góry zapowiedzieli, że nie pójdą, ale wyższym rangą członkom senatu uczelni, wykształconym na galicyjsko-austriackich wzorcach, nie wypadało odmówić. Spodziewali się, jak wspominał profesor historii Władysław Konopczyński, czegoś w rodzaju: *capo di fascio di combattimento* (przedstawić komuś jasno punkt widzenia). Przed wykładem odbyło się uroczyste nabożeństwo inauguracyjne nowego roku akademickiego, na którym licznie zgromadzeni profesorowie w uniwersyteckich togach odśpiewali *Boże, coś Polskę*. Profesor Konopczyński po skończonej mszy wpadł na chwilę do dziekanatu załatwić drobną formalność. Kiedy spieszył na wykład, spóźniony dziesięć minut, zauważył, że z drzwi audytorium Collegium Novum wysypał się tłum profesorów, docentów, asystentów, których umundurowani policjanci (jeszcze nie odróżniano gestapo) ustawiali w trzy rzędy. Widok był nieprawdopodobny. Wydawało mu się, że wykład nie mógł się skończyć tak szybko, że zaszło jakieś nieporozumienie. Później jego koledzy przekazali mu treść kilkuminutowego komunikatu wygłoszonego w języku nauki, po niemiecku, którym biegle władała znakomita większość profesorów. Przemówienie brzmiało mnie więcej tak:

Panie i Panowie. Doszło do naszej wiadomości, że przystępujecie do pracy naukowej, ohne uns ze fragen, rozpoczynacie wykłady, ohne uns zu fragen, urządzacie egzaminy ohne uns zu fragen [bez pytania nas – aut.]. Jak widać nie zdajecie sobie sprawy z waszego i naszego położenia. Otóż takie postępowanie jest dla Niemiec (aktem wrogim i złośliwym) obrazą: przy tym Uniwersytet Krakowski był zawsze głównym ogniskiem naukowej walki z niemczyzną. Ogłaszam wam, że gmach ten jest otoczony, Uniwersytet zamknięty i to zarządzenie obowiązywać ma co najmniej na czas trwania wojny, a wy wszyscy jesteście aresztowani i zostaniecie przeniesieni do obozu jeńców (Gefengenenlager), gdzie będziecie mieli czasu dość, by się zastanowić nad swym postępowaniem.

Kiedy rektor Uniwersytetu profesor Stanisław Estreicher podniósł rękę, aby zabrać głos, Müller wskazał ręką w kierunku drzwi na korytarz: „Herr Rektor, bitte voran” (Panie rektorze, proszę przodem) – powiedział. Po chwili gestapowcy przystąpili do akcji. Rozległy się wrzaski: „Rasch, rasch, alle raus!”. Jeden z gestapowców kopnął profesora Estreichera, a gdy ten odwrócił głowę z gniewem, został momentalnie spoliczkowany, inny uderzył kolbą w plecy rektora Zolla, którego dopiero co przedstawiono Müllerowi jako członka Akademii Prawa Niemieckiego. Gestapowcy, bijąc, popychając, znieważając profesorów, załadowali ich na ciężarówki w grupach po dwudziestu pięciu. Ogółem aresztowano sto osiemdziesiąt trzy osoby, w tym stu czterdziestu pracowników Uniwersytetu Jagiellońskiego, dwudziestu pracowników Akademii Górniczej, trzech pracowników Akademii Handlowej, jednego pracownika Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, kilku studentów, pracowników administracyjnych i kilka

postronnych osób. Byli wśród nich blisko osiemdziesięcioletni starcy i ludzie zupełnie młodzi. Było kilkudziesięciu uczonych dekorowanych Orderem Polski Odrodzonej, Krzyżem Zasługi, byli kawalerowie i oficerowie orderów zagranicznych: francuskiej Legii, węgierskiego Krzyża, włoskiej Korony, szwedzkiej Gwiazdy Polarnej, czeskiego Lwa, jugosłowiańskiego orderu św. Sawy. Wśród nich byli filolodzy, wielbiciele muzyki Wagnera i poezji Goethego, wykształceni na niemieckojęzycznych uniwersytetach lekarze i antropolodzy. Wszyscy razem zostali zapakowani do ciężarówek i po krótkim pobycie w więzieniu przy ulicy Montelupich, a potem w koszarach wojskowych w Łobzowie, pojechali do miejsca docelowego – obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Baraki były drewniane, kryte dachami, bez sufitów, przewiewne, zimą lodowato zimne. W każdym baraku znajdowała się izba dzienna (Tagesraum), umywalnia z kamienną podłogą oraz wychodek. Barłogi do spania składały się ze słomianych sienników oraz brudnych koców. Według regulaminu wejść do „sypialni” można było tylko w kalesonach, koszuli i drewnianych chodakach. Ubrania i buty pod groźbą kary zostawiano w szafie. Kiedy pod wpływem mrozu koce pokrywały się taflą szronu, strażnicy pozwalali czasem na zabranie fragmentów garderoby, którymi owijano głowy. Wśród jęków więźniów, fetoru chorych ciał, zaduchu i przenikliwego zimna układano się do snu. Na śniadanie więźniowie pili ciecz zaprawioną mlekiem i odrobiną owsianki, na obiad zgniłe kartofle, brukiew lub marchew ze szczyptą rybiego mięsa. Szerzyły się choroby dróg oddechowych, infekcje, krwawe biegunki, tyfus. Nawet ciężko chorzy musieli brać udział w codziennych apelach, nieraz po kilka godzin na siarczystym mrozie w postawie na baczność lub klęcząc na śniegu. Konających podtrzymywali koledzy. Pierwszymi ofiarami „akcji specjalnej” byli profesor Akademii Górniczej Antoni Meyer, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego profesor

Stanisław Estreicher, profesor zoologii Michał Siedlecki, historyk literatury profesor Ignacy Chrzanowski. Lista ofiar rosła systematycznie.

Jednym z pierwszych pytań, jakie nasunęło się uwięzionemu Władysławowi Konopczyńskiemu, było pytanie o to, kto zarządził obławę na profesorów. Jeszcze w więzieniu na Montelupich doszła do niego wiadomość, że do Krakowa właśnie przybył gubernator GG dr Hans Frank, prawnik i twórca Akademii Prawa Niemieckiego, ten sam, który ledwie kilkanaście miesięcy wcześniej odwiedził Warszawę i Kraków z wykładami. Do Krakowa przybył też dr Fritz Arlt, przedwojenny współpracownik profesora antropologii Kazimierza Stołyhwo. Na brudnym barłogu w Sachsenhausen Stołyhwo rozpamiętywał trzydzieści sześć lat współpracy z uczonymi niemieckimi: wizyty w Krakowie dr. Karla Valentina Müllera z Drezna i dr. Richarda Odenwalda z Berlina; konferencję międzynarodową w Kopenhadze z roku 1938, na której wystąpienia gratulował mu sam rektor Uniwersytetu Berlińskiego i największa sława w dziedzinie antropologii i genetyki profesor Eugen Fischer. Za zasługi dla antropologii uczeni niemieccy nagrodzili go zaszczytnym mianem korespondenta zagranicznego Wiedeńskiego Towarzystwa Antropologicznego, najbardziej cenionej placówki antropologicznej w Europie. Teraz jego niedawni koledzy ściągali do Polski w rangach wysokich funkcjonariuszy okupacyjnej administracji, jak dr Arlt, kierownik Wydziału Ludności i Opieki Społecznej rządu Generalnej Guberni oraz przyszły szef sekcji rasowej w Ostinstitut. Kiedy Arlt przedstawił profesorowi geografii Jerzemu Smoleńskiemu, profesorowi socjologii i etnologii Kazimierzowi Dobrowolskiemu oraz profesorowi Stołyhwie ofertę wyjścia na wolność, prawdopodobnie pod warunkiem podjęcia pracy w Ostinsitut, wszyscy solidarnie odmówili.

Stosunek niemieckiego środowiska naukowego do uczonych polskich w latach drugiej wojny światowej pozostaje do dzisiaj jedną z najbardziej mrocznych kart w historii niemieckiej nauki

Z dostojeństwem niemieckiego uniwersytetu został skonfrontowany w 1940 roku jeden z najbardziej obiecujących psychiatrów młodego pokolenia, wychowanek

profesora Jana Mazurkiewicza dr Karol Mikulski. Był zafascynowany niemiecką nauką, jak większość polskich psychiatrów kończył niemieckojęzyczne uniwersytety. Interesował się zwłaszcza antropologami i genetykami, którzy postanowili się zmierzyć z zagadką dziedziczności. Kluczem do jej rozwiązania miały być badania bliźniąt. W Niemczech podjął je z wielkim rozmachem bezpartyjny genetyk profesor Otmar von Verschuer. W roku 1936 Mikulski wybrał się w podróż po Europie, po Francji, Włoszech, Jugosławii, Węgrzech i Niemczech. Gościł w Monachium, Heidelbergu, Frankfurcie, Erlangen. Poznał bliżej tuzy niemieckiej psychiatrii i eugeniki – profesorów Carla Schneidera i Ernsta Rüdina. Praktyka polityczna III Rzeszy wydawała mu się odległa, oddzielona grubym murem od uniwersyteckich katedr. Przekonanie to podzielał też najbardziej przenikliwy krytyk niemieckiego rasizmu, nestor polskiej socjologii profesor Stanisław Ossowski. Niedługo przed wojną rozważał, czy uczone miary profesora Eugena Fischera może legitymizować rasistowskie bzdury o wyższości nordyckiej rasy. W relacjach Polaków, na które powoływał się Ossowski, podkreślano dwie cechy Fischera: naukową rzetelność i osobistą uczciwość. W rzeczywistości Fischer był oddanym nazistą, teoretykiem eksterminacyjnego rasizmu niemieckiego i, jeśli wierzyć polskim

uczonym, mistrzem politycznego kamuflażu. Za jego sprawą wprowadzono na terenie Niemiec nie tylko sterylizacje, ale także masowe uśmiercanie ludzi niepełnosprawnych w akcji T4.

Fala mordów ludzi niepełnosprawnych w Polsce, choć formalnie nieobjęta akcją T4, rozpoczęła się krótko po podbiciu Polski. Kiedy dr Mikulski, uciekinier z sowieckiego transportu wiozącego polskich oficerów do obozu w Kozielsku, obejmował powtórnie funkcję ordynatora gostynińskiego szpitala, nawet nie przypuszczał, że tym razem przyjdzie mu się zmierzyć z teoriami niemieckich mistrzów genetyki w praktyce. 17 marca 1940 roku do szpitala przyjechała niemiecka komisja. Członkowie komisji nakazali Mikulskiemu pod groźbą aresztu przygotowanie listy chorych „nierokujących powrotu do zdrowia”. Ich los był przesądzony, stanowili „byty stanowiące balast”. Mikulski naradzał się z polskim personelem szpitala cały dzień, po powrocie do domu zamknął się na długie godziny w swoim gabinecie. 18 marca nad ranem w geście rozpaczliwego protestu przeciw mordowaniu niewinnych popełnił samobójstwo.

Jednym z uczonych przed wojną hołubionych przez niemieckich kolegów jako najwybitniejszy serolog na świecie, a w czasie okupacji zdegradowanym do roli nieczłowieka, był polski profesor żydowskiego pochodzenia – Ludwik Hirszfild. Niemieccy naukowcy wykorzystywali jego prace serologiczne, podobnie jak dorobek antropologiczny profesora Czekanowskiego, dla celów nazistowskiej polityki ludnościowej. W latach wojny Hirszfild dostrzegł z całą ostrością udział niemieckich naukowców w zbrodniczym systemie III Rzeszy. Ukrywając się pod fałszywym nazwiskiem, odcięty od warsztatu pracy, ogołocony z dorobku życia, pozbawiony rodziny i bliskich, kreślił słowa:

Widzę krew na rękach uczonych niemieckich. Na tych, co pisali o higienie rasy, o duszy nordyckiej, o przestrzeni życiowej, o misji na wschodzie i jak tam się jeszcze inaczej antycypuje i motywuje grabież. I na tych jeszcze liczniejszych jeszcze, którzy wiedzieli, że to są nonsensy, ale milczeli i na ulicy nie kłaniali się kolegom będącym w niełasce. (...) Przed oczyma każdego człowieka w Polsce stoją niezatarte wizje ludzi chwytyanych jak wściekłe psy, wywożonych i zabijanych, upiorne wizje milionów bezbronnych, gnanych na miejsce masowych straceń. I czyny te umożliwia wiara w wyższą wartość jednej rasy, oparta na zaufaniu do nauki. Przeżycie tylko jednej rasy ma warunkować postęp. Czystość rasy jest dla autorów niemieckich sprawą higieny rasy. I w ten sposób nauka stała się współwinna największego w historii morderstwa. Więcej, nie tylko o współudział, ale o podżeganie do mordu musi oskarżać naukę niemiecką sumienie świata.

Wojenne losy polskiej uczoney dr Martyny Gryglaszewskiej-Puzyniny, asystentki profesora Jana Czekanowskiego związane są z profesorem genetyki Otmarem von Verschuerem. Przed wojną Gryglaszewska badała sprawność fizyczną studentek z Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego (CIWF) pod kątem podziałów rasowych. Po wybuchu wojny działała w konspiracji akowskiej. W marcu 1943 roku w wyniku zdrady została aresztowana przez gestapo i poddana ciężkiemu śledztwu. Latem 1943 roku gestapo podało rodzinie fałszywą informację, że zmarła. W rzeczywistości Gryglaszewskiej podano środek nasenny, po którym ocknęła się na rampie obozowej w Auschwitz. Antropolożka nie widziała, że profesor Verschuer wysłał tam swojego ucznia i przyjaciela, doktora filozofii i antropologii Josepha Mengele, który wzorem swojego mistrza prowadził badania na

bliźniętach i karłach. Spreparowane szkielety ludzkie, obcięte głowy, pływające oczy w słojach odsyłał do czołowych niemieckich uniwersytetów. Istnieją trzy przekazy na temat tego, w jaki sposób Mengele odnalazł Gryglaszewską w obozie.

Pierwszą przedstawiła pisarka, współzałożycielka „Żegoty” i więźniarka Auschwitz Zofia Kossak-Szczucka we wspomnieniach wydanych tuż po wojnie. Na blok, gdzie przebywała chora na tyfus Gryglaszewska, miało przyjść „dwóch przedstawicieli nauki niemieckiej”. Pytali się, co robi w obozie asystentka profesora Czekanowskiego. „Noszę kamienie” – odpowiedziała, na co obaj wybuchli głośnym śmiechem. Druga wersja pochodzi z wywiadu Geralda L. Posnera i Johna Ware’a z Gryglaszewską, przeprowadzonego czterdzieści lat później. Wedle tej wersji Gryglaszewska była tak słaba, że dwóch więźniów musiało ją wlec po ziemi, trzymając pod pachy. W szpitalu zobaczył ją sam Mengele, który od innego lekarza dowiedział się, że była asystentką profesora Czekanowskiego. „No cóż, chyba będzie lepiej, jeśli popracujesz trochę dla mnie” – powiedział.

Naukowcy niemieccy nie tylko sprzeniewierzyli się etosowi nauki, ale zamieniając uniwersyteckie togi na mundury zniszczyli wiarę w dostojeństwo niemieckiego uniwersytetu

Istnieje wreszcie trzecia wersja wydarzeń, najbardziej przejmująca, przekazana przez Krystynę Lazarową z rodziny Gryglaszewskiej.

Wedle tej wersji na

krótko przed wybuchem wojny we Lwowie u profesora Czekanowskiego

pojawił się przystojny antropolog z Niemiec. Profesor poprosił wtedy swoją asystentkę, aby oprowadziła go po Lwowie. Tym gościem był Mengele. W obozie bez trudu rozpoznał ją, pod groźbą śmierci zmusił do współpracy. Podjęła ją za wiedzą ruchu oporu. Przez sześć miesięcy pracy dokonała pomiarów dwustu pięćdziesięciu par bliźniąt. Była wykończona psychicznie widokiem śmierci i cierpieniem ofiar sadystycznego genetyka. Próbowwała rozpaczliwie dokumentować zbrodnie Mengele. Odpisy badań, listy imion i nazwisk ofiar zakopywała w ziemi w blaszanych naczyniach i butelkach. Współwięźniarki po wojnie jednym głosem mówiły o jej godnej postawie. Po wojnie Gryglaszewska złożyła obciążające Mengele zeznania i wyemigrowała do RPA, a stamtąd do Anglii. Wszędzie podążały za nią zmory przeszłości. Odrzuciła propozycje pracy w charakterze antropologa, które napływały z różnych stron, również z placówek amerykańskich. Nie mogła wziąć do ręki narzędzi antropologicznych. Nie po tym, czemu świadcowała w Auschwitz. W RPA założyła farmę strusi. Inaczej potoczyły się losy inicjatorów zbrodni. Profesor Verschuer suchą stopą przeszedł przez denazyfikację. Był profesorem genetyki na uniwersytecie w Münster. Profesor Eugen Fischer po krótkiej przerwie w pracy badawczej został członkiem Berlińsko-Brandenburskiej Akademii Nauk oraz honorowym członkiem Niemieckiego Towarzystwa Antropologicznego. Żaden z nich nie doczekał się procesu na miarę „mordercy zza biurka” Adolfa Eichmanna, choć z pewnością na niego zasługiwali.

Stosunek niemieckiego środowiska naukowego do uczonych polskich w latach drugiej wojny światowej pozostaje do dzisiaj jedną z najbardziej mrocznych kart w historii niemieckiej nauki. Po uwięzieniu profesury Uniwersytetu Jagiellońskiego w obozach koncentracyjnych rozległy się protesty środowisk naukowych ze Szwecji, Szwajcarii, Hiszpanii,

Jugosławii, Włoch oraz Węgier. W sprawie polskich profesorów miał osobiście interweniować Mussolini, przy wymownym milczeniu środowisk niemieckich.

Polscy naukowcy umierali w Sachsenhausen, Auschwitz, Dachau, ginęli na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie, w gettach żydowskich, w powstaniu warszawskim. Całe szkolnictwo wyższe w Polsce zostało zniszczone, kadra zdziesiątkowana, uniwersytety okryły się żałobą. Polscy uczeni już w pierwszych tygodniach okupacji uznani zostali za wroga, nawet ci, którzy utrzymywali poprawne czy bliskie stosunki z nauką niemiecką, tylko z tego powodu, że – jak trafnie wskazywał Władysław Konopczyński – służyli polskiej kulturze. Stanowili elitę politycznej wspólnoty, na którą nie było miejsca w przyszłości kreślonej ręką Hitlera.

Jednakże na dramat polskich naukowców można też spojrzeć z innej perspektywy. Uczeni stanowili wspólnotę przekraczającą narodowe podziały. Mówili w kilku językach, znali zagraniczne uniwersytety, brali udział w międzynarodowych konferencjach. Byli częścią wielojęzycznego i wielokulturowego środowiska, którego celem, jak się wydawało, była praca na rzecz rozwoju kultury i cywilizacji. Dla Polaków niemieccy akademicy bardzo długo symbolizowali bezinteresowne dążenie do naukowego poznania. Nie byli anonimowi, mieli dobrze znane twarze, nazwiska, wiązały się z nimi konkretne sytuacje i wspomnienia. Naukowcy niemieccy nie tylko sprzeniewierzyli się etosowi nauki, ale zamieniając uniwersyteckie togi na mundury, inicjując zbrodnie, przyzwalając na mordy i grabieże, pokrywając głuchym milczeniem cierpienia Polaków, z którymi łączyła

ich wieloletnia współpraca, zniszczyli wiarę w dostojność niemieckiego uniwersytetu. Dziesiątki miejsc, w których zdobywały wiedzę całe pokolenia polskiej inteligencji.

Jest jakiś paradoks w tym, że pamiętając o Sonderaktion Krakau jako erupcji zła, często zapominamy o ludzkim wymiarze dramatu polskich uczonych. Bywało i tak, że na podstawie jednostronnych źródeł i niepełnej wiedzy ciskano podejrzenia o kolaborację wobec tych profesorów, którzy za zgodą i wiedzą struktur państwa podziemnego zgodzili się na pracę w Ostinstitut. Jak wynika z badań amerykańskiej historyczki Gretchen Schafft, polscy uczeni sabotowali zlecane im prace i nie uchybili etosowi swojego zawodu. Nad Gryglaszewską, ofiarą antropologów niemieckich, której jednoznacznie pozytywne świadectwo wystawiły współwięźniarki, świadkowie piekła, przez które przeszła, odbywa się rytualny sąd współczesnych, którzy z wielką łatwością piszą o jej dwuznacznej moralnie postawie. O doktorze Karolu Mikulskim, którego świadectwo zasługuje na upamiętnienie, choćby w ufundowaniu nagrody naukowej jego imienia, wspomina się w jednozdaniowych akapitach. W 2010 roku, w 70. rocznicę jego tragicznej śmierci, władze samorządowe odmówiły dofinansowania tablicy upamiętniającej jego dobrowolną śmierć za pacjentów. Tablica na murach szpitala w Gostyninie zawisła tylko dzięki staraniom rodziny oraz lekarzy i pracowników placówki. Tak być nie powinno. O dramacie i heroizmie polskich uczonych powinno pamiętać państwo polskie, dlatego że reprezentowali polską kulturę, naukę i że w ostatecznej konfrontacji ze złem, nazistowskim totalitaryzmem, niejednokrotnie zapłacili najwyższą cenę. Cenę życia.

Ilustracja: „Aresztowanie profesorów” - obraz autorstwa Mieczysława Wątorskiego

Esej został opublikowany w książce „Bilet do nowoczesności”, wydanej przez Teologię Polityczną